

IWAN
ZŁATOKUDR

Barwy chwil

TYRSA
WARSZAWA 2000

Tomik wydany przy finansowej pomocy
Ministerstwa Kultury i Sztuki
(stypendium twórcze 1999)

Na okładce:
zdjęcie z Winnickiego lasu
fot. Iwan Złatokudr

© copyright by Iwan Złatokudr

Wydawca:
TYRSA Sp. z o.o.
03-614 Warszawa, ul. Kościeliska 7
tel. 679-95-47, fax 679-96-95

ISBN 83-912091-2-1

Skład i łamanie:
TYRSA Sp. z o.o.

Druk:
KOLDRUK, Warszawa, ul. Lisia 20

Nakład: 500 egz.

MATCE

U progu tęczy



sad
błysk jabłka czerwonego
gałązki ciepłych rąk matczynych
powitają cię radośnie

szeleszczących liści słów matczynych
rozsypanych w krąg bajkami
żal tak bardzo wciąż

daremnie sięgasz po dojrzały owoc
co urodą słonecznego blasku
tylko chwilę lśni

przeminie także
by w ciemności się pogрузić
urody twojej gwiazda

w późną porę nieziszczonych marzeń
jabłka z ogrodu dzieciństwa
ciężą jak lata
na kruchej witce pamięci



zaprzędany słońcu ptak
– wciąż i wciąż –
przemierzam nieskończoność

gdy kwitnie wiosną biało sad jabłonny
gdy jesień liście złotem opromienia
– wciąż i wciąż –
do białych ścian powracam
– z zapomnienia



niebo wiośniane
z obłokiem bocianim
nad sadem białojabłonnym
dopóki nade mną krążysz
nie jestem bezdomny

MATCE

(w wigilijny wieczór)

Świeciłaś mi gwiazdą na drodze do szopki
gdy dzień grudniowy w błękitnych zaspach spłonał

i gile
 – jak sad w jasełkowych jabłuszkach –
 rozszczebiotały za oknem
 radosny zmierzch
 łuną czerwoną



sypią się z nieba białe strużyny
józef kołyskę strugiem hebluje

miesiąc jak wół krętorogi u żłobu
gwiazdy obsiadły wysokie już grzędy

skrzypi w noc białosrebrną
anioł dzieciątku śpiewa kolędy

KOLEDA

szła z betlejemską gwiazdą
niosąc dobrą nowinę
szła pod łuną czerwoną
sypała płatki śniegowe
na głowy w wysokich koronach
gadały w oborach
ludzkim głosem
krowy i woły
na stole lśnił obrus czysty
gdzie miód i chleb
dla wszystkich
i czarka
– na zdrowie –
– na szczęście –
z orzechową nalewką
i z winem
radość pod wąsem kłosiastym
dziada ze słomy
i stare skrzypce
co w spracowanych dłoniach dźwięczą
i oczy wieczoru płonące
w zielonych rzęsach jodły
szła z betlejemską gwiazdą
w noc białą
– cichą i świętą –
hej kolęda kolęda



— — — nie lubię wiosny —
wciąż widzę jak zieleń
wezbranych łąk depczą
hordy

czerwony mak wdeptany
w darń
wciąż przypomina kolor
krwi
na sztandarach poległej
nadziei
— — — nie lubię wiosny —



garbata wieża
w czerwonym kapturze
ostrosłup śliski
gdzieś w sercu wciąż jątrzy się żal
chmury płonące
jak krwi niewyschnięte kałuże
gdzieś słońce
jak człowiek umiera
wbijane na pal

PRZYSTAŃ

pamięci Przyjaciela

Leżałeś w ciszy płonących świec
leżałeś w łodzi ciosanej z czarnego drzewa
– z odstawionym wiekiem
posrebrzonym cierniem cynowego krzyża
Po latach tułacznych
dobiłeś do brzegu gdzie
wśród stłoczonych barek
śpią poczerniałe maszty
– odarte z wędrownych chmur
Blade cienie
w czerni
stąpając po granitowych stopniach wysokiej fali
podchodziły do czarnej burty
w zachodzącym blasku świec żałobnych
Jeszcze pożegna Cię śpiew czarnej jaskółki
pod kamiennym obłokiem kaplicy cmentarnej
– Twoje ręce nie straciły nigdy ptasiego gniazda
Jeszcze z łopat dzwonnych
– jak z wiosel
spłyną ostatnie krople słońce
dudniąc o burty
I –
w bezruchu zastygną
rzucone
wieńce

*Poezja Iwana Złatokudra (...) jest głęboko
przeżyta i na nowo odkryta, w pełni wiarygodna
i przesiąknięta jakimś dziwnym, wewnętrznym
ciepłem. Jest tym cenniejsza, że niezwykle udanie
spina klamrą dwie kultury, dwie Ojczyzny poety.*

Leszek Klimowicz
KONIEC WIEKU, 7,
Kraków 1995

SPIŚ TREŚCI

<i>U progu</i>	5
<i>Znad łąk czterolistnych koniczyn</i>	21
<i>Pora słoneczników</i>	43
<i>Zapisuję muzykę trzmiela</i>	65

●
nasz stół wigilijny wyzłaca już świeca
– ognisty kwiat z baśni –
bo znów aniołowie kolebkę ciosali
z modrzewia dzwonnego
i drogę do szopki
wytkali z łun jasnych

w pień sosny zakłęty
– w noc cudów –
– ze wzgórza –
trzech mędrców wędrownych
z zim mroźnych
wyglądam
– czy wrócą tu jeszcze na białych wielbłądach

AUTOPORTRET

piegowate lata
bose

miedzianowłose szczęście
pochodnią płonące
na wietrze

macierzanką pachnące wzgórze
liliowe

lato gania motyle po łączce

kwiaty płoszy chłopię

już płoną poziomki w sośninie
żarem słodkim

stary dąb
dzban słońca niesie
na długim kij

leśna krynica
szumi opowieść o kwitnącej paproci
w mrokach boru

gdzie sowy gniazda swe kryją
pod powieką dziecięcą
kolorowy świat

las
na wzgórzu

— baśń o szczęściu



(winniki)

gdzieś wśród mleczejowych łąk
ślady chłopięce
srebrne dmuchawce
ustami lata zdmuchane

miasteczko
budzone o świcie
fabryczną syreną

niebo
kąpiące naręcza obłoków
w gliniance

stara cegielnia
w kapeluszu wieczoru
w czerwonym

kurzy cygaro
mrużąc purpurowe oko
gasnącego słońca

gdzieś wśród mleczejowych łąk
srebrne dmuchawce dzieciństwa

LAS

Czarna
słodka od jeżyn
dąbrowa
w gwieździstej paproci
Gdzie księżyc
brązowy
wyjedzie z bobrowej nory
– pochodzi – – –
By znów się zanurzyć
w gąszczu kniej
żywicznym miodem przepojonych
– utopić – – –

Gwiazdy dzieciństwa –
łódeczki z sosnowej kory
puszczone
na wodę – – –



Był złoty dzban słońca...
Był miodem pachnący zagajnik...
Na leśnej ścieżynie
do chatki z piernika
pozostał ślad bosy...
I bajka...



za zielonymi szybkami werandy
brodate pnie drzew pękających

gdzie na zakurzonych makatach babuni
ktoś lampki czerwonych muchomorów
o zmierzchu
zapala

w dalekim lesie dzieciństwa
wciąż nie śpią skrzaty



sosna
sowiooka wiedźma
wróżby czyta z gwiazd
bursztynami żrenic sękatych

od świetlikowej skry
pozapalały się ogniska
na kąpielowych uroczyskach

z czartowskich skał
wylatują nietoperze
po tajemniczy kwiat czerwcowej zorzy

księżyc rogaty
przysiadł na konarze
w sowim borze

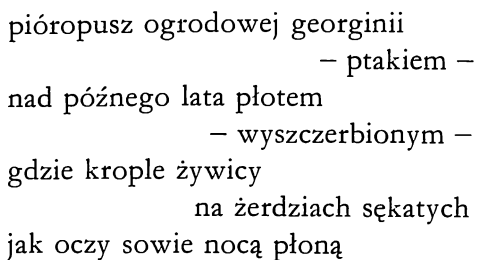


skaczą wiewiórki
po dachówkach czerwonego lasu

dopala się słońce
w oknie na poddaszu

wino w kryształach wieczoru
późny czas niesie

spija lato z dębowych pucharów
wrzesień





kołyska z ojczystej sosny
lekka

i trumna

pod obcym księżycem
– bezdomny –

wnet
umrę

pamiętam

garść prochu
jestem winien
tej ziemi

gdzie ptakiem wciąż wracam

gdzie spalam się
w ciemni



dąb
 – samotnik –
na wrzosowiskach
 sinomodrej jesieni
gwarne roje zielonych lat
łowię wspomnieniem

wciąż szukam
baśniowego kwiatu
 czerwcowej nocy
– przy świetle spadającej gwiazdy
 znad leśnych uroczysk

*Znad łak czterolistnych
koniczyn*

KALEJDOSKOPOWE AKWARELE (szkice)

na wysokiej wodzie
łabędź
maszty
stawia
z białych piór
na wietrze — — —

na wzburzonej fali
żagiel noszą
szkwały — — —
— płatek lilii białej — — —

na skrzypiącym maszcie
łopot
gniewnej
zorzy — — —
— krzykiem mewy spiętej — — —

na dalekim brzegu
biały
żagiel
wita
z łez utkana
tęcza — — —

na wysokiej wodzie
łabędź
maszty
stawia
z białych piór
na wietrze — — —



gdzie różgi błyskawic szeleszczą nad ziemią
zamgloną

gdzie wiosna przekwita jabłonią
i lato się budzi we łzach wczernorosych

– jak ból pod powieką –

– jak jesień we włosach –

gdzie matka o świcie rozmawia ze słońcem

i w myślach pogrąża się ojciec

– milczący – ponury – jak zmierzch –

tam rodzinny mój dom –

– pod niebem

z deszczów

– i –

tęcz



orzech

siwy

bóg ojciec

biały

cały wszechświat

w wysokiej aureoli

gwiazd plejady

drogi planet

ziemi orzeszek

mały

a na niebieskiej obręczy

to deszcze wiosenne

to późne żurawie

wiatr nieustanny

nieustanny klekot elektronów

chlorofil seledynowych brzasków

hemoglobina zachodów czerwonych



orzech

siwy

bóg ojciec

biały



(przedwiośnie)

to nic
że od tarnin białokwitnących
chłodem powiało

bo wędrowny wiatr
już niebieskie żagle napina

i lecą bociany
nad zieloną oziminą

słonecznej nalewki
naparstek

zgrzeje
ciało



strzygą jaskółki
 zieloną wełnę
 z deszczowych chmur

z deszczowych nitek
chmiel rzek
len mgieł

kłos
i chleb

łuk nadziei
nad ojcowskim progiem

kwiat jabłoni
owoc

i liść –
– jak dotyk dłoni drogiej –

strzygą jaskółki
 zieloną wełnę
 z deszczowych chmur



(wiośnie)

noc

jak konar

powalił

świt

wyszczerbiony topór

utopił w rzece

zza seledynowych mgieł

wyjdiesz słońce

gubiąc jaskrów naręcze

●

jak nić żywego srebra
znów pęd do nieba pnie się
gdy wiosny czas zieleni chmiel
we włosach brzozy
marcowy świt
– marzyciel –
fiołkowym atramentem
do ptaków listy pisze



(o świcie)

pora wczesnych słońc
ostrzem pługa zaorze mglistą noc na złoto

gwar ptasich hord
w strudze świtu powtórzony

dadźbóg
 – młody –
kazał cierniom kwitnąć
 – biało –

mglistych wzgórz
obłokom



(cud)

posypały się perły
spod powiek madonny
na krzemień
zakwitły gwiazdkami romanów
przestrzenie

czerwonych pól odzew
w kryształowych dolin
modlitewnym dzwonie

gdzie kłos wąsaty
w rubinowych rosach tężeje
jak słoneczny promień



upadło słońce
na kwietniowe sady
na cerkiewne banie

śpiew dalekich dzwonów
wieczorowe zadumanie

topolowe świece
nad zoranej niwy strugą

na kolanach
– kornie –
wiersz swój zmówię
przed ikoną słońca
– w lustrze pług

●

słowiański świątek
w zgrzebnej chłopskiej koszuli
bosy
wśród słonecznikowych słońc
i lnianych mgieł
porannych
wygania białe gęsi
przedługich pacierzy
– półgłosem gadanych –
na złote rżyska
ojczystych łąnów

●

pod topniejącą chmurką dzikich gęsi
kubek mleka
– o świcie –
pachnący piołunem
i dymem znad płonących kartoflisk
żółty słonecznik
zza płotu
kołem skrzypiącym się toczy
w pracowity dzień
przypisany do ziemi październik
w słonecznikowej pełni
dolę zgrzebną orze
od zorzy
do zorzy

NADZIEJA

chłop
w kapeluszu ze słońca

jak święty w aureoli

przepowiada z roztartego w dłoniach kłosu

pełnię
chleba



miłości skowronka
do dolin makowych
wczesnorosych

za pługiem
ze śpiewną kosą
z niebem błękitnym w oczach
krocząc
stogi w słońcu
widzę
przez niebieski pryzmat

w ziarnku
– w każdym –
grudka ojczystej ziemi

w kromce chleba
ojczyzna



białe koszulki bocianie
nad wodą lustrzaną

liść o kształcie serca
lipy miodem pachnące

i drabiniasty wóz skrzypiący
i stogi chlebne

znojone dni lipcowe
toczone kołem słońca

aż krzemień
co w kosiarza dłoni
wskrzeczy zachód czerwony
nad wieczornym śpiewem
modlitewnych dzwonów



sierpień

przysiadł do wieczerzy
na ścierniskach pól skoszonych
na serwetach mgieł
 haftowanych nicią zachodu
 czerwoną

a makowe słońce
a makowe słońce
całowało dłonie żniwiarzy
 gorące

sierpień
do ziemi chlebobodanej
 przypadł
 ustami

i
przywitały krzykiem jesień
 białe gęsi
 w kraju złotych stogów

i
pożegnały krzykiem lato
 białe gęsi
 na rozstajnych drogach



chleborobi
żniwiarze o twarzach słonecznej urody
wiążą snopy
pieśnią dzwonną
tęczą krynic
ręce żniwiarzy pachną chlebem
oczy żniwiarzy
niebieszczą się widnokrzem bocianie
nadziei
– znad łąk czterolistnych koniczyn



minęła ulewa w rozdole
choć jeszcze grom szeleści
nad wieżą cerkiewnej topoli
już tęcza wiąże łąn zboża
aż czajka nad czołem żniwiarza
myśl o słońcu
zatrwoży



wnet spłonie niedługi już dzień
i sfrunie z drzew jesień znów ptakiem
pąsowym
uderzy wiatr gromem o pień
i gwiazda przeleci
jak liść
nad dąbrową



poszło lato na rozdroża
żółtołate
wyplakać błękit nieba
w piołunowe szaty
dojrzewa wczesny zmierzch
w źrenicach mgieł
szarawych
ptak ognisty w szponach tarnin
czarnych krwawi



(sierpniowa noc)

rogaty księżyc
i stada chmur łaciatych

i krótki sen na gwiazdnych kopach

przy mlecznej drodze
świerszcze śpiewne

gdzie łany sierpień skosił
i pachną chlebem
ręce chłopca



(rysunek ołówkiem)

wiatrak
niby święty z krzyżem
na wzgórzu
we mgle

przyklął
pod ciężarem skrzydeł sękatych

zmierch
wysupłał szarą nić zadumy

z węzła wciąż rwącej się pamięci

jak zostać kowalem szczęśliwej gwiazdy
gdy żar wygaśnie
w kuźni serca

gdy złoty księżyc
do białości dnia wypalony
dymi podkową
wdeptaną w kałużę

Pora słoneczników

późne lato
trzęsie w sadach jabłonie
kroplomierzem odlicza czas

potoczyło się jabłko za wzgórza zielone
od dojrzałej czerwieni zapalił się las

żał lasów
żał róż kiedy lasy płoną
żał słońc zachodzących
żał chwil lawą dni popielonych



słyszysz?
pora slot gdzieś w rynnach gra
ktoś na wzgórze tarnin
sypie czarny grad

słyszysz?
księżycowy zegar stuka
żółta rdza na skroniach gwiazd

słyszysz?
muzyką win winogradnych
z mlecznej drogi deszcz
przepelnia serce jak kielich

gdzieś gałązek wierzby
dotknął mistrz Chopin
i polonez płynie ponad ziemią
kwiat słoneczny
nieśmiertelnik



(tęsknocie)

przychodzisz – jak jesień – po rosach

lniany dym przędą wieczory

na rzęsach przydrożnych kasztanów
jeszcze lśnią zielone wspomnienia

pod kolczastą powieką łza dojrzewa
rubinem spadającej gwiazdy



żółty słonecznik
promienny jak lato
gwiazdą jesieni
w ogrodach lat płonie
gdzie cierpkie wino
na stołach sękatych

biorę kielich
z aksamitnej dłoni



wpisało się serce
do zielonego albumu
atramentem z fiołków

powracające ptaki z przestworzy
wskazywały na słonecznym zegarze
porę
wczesną

wypłowiwały zwrotki dawnych słów

paciorki litanii żurawich
wszeptane
w zmierzch

miarą czasu
klucze wędrownych ptaków



bądź moją wiosną
– lato czy jesień –
kiedy kłoszą się zboża
i kiedy klucze żurawie los niesie

bądź moją wiosną
– lato czy jesień –
kiedy przychylasz mi nieba
ze słońcem złotodojrzałym wysokim
i białośnigami obłoków nad miedzą

i kiedy twoje dobre oczy
ledwie posrebrzone południem pory
przymglonej
jagodami tarnin
w zmierzch świecą

bądź moją wiosną
– lato czy jesień –
kiedy kłoszą się zboża
i kiedy pieśni żurawie czas niesie



na wiosnę –
serce przyrody
– jak źródło bije

trudzą się pszczoły
wracają ptaki do gniazd
by
– jak przed wiekami –
o los bezbronnych piskląt się troszczyć

czemużeś kukułko jak niebieski ptak

nadziejo moja
trosko ma



słyszałem szept
na pokuszenie wiodącej mnie
jabłoni

słyszałem śmiech
strąconych w otchłań komet

powtórzony
w węzowych źrenicach
rajskich dolin

gdy brałem jabłko
z twojej dłoni



wyciszone serce
– po zielonej powodzi –
jak wyschnięty potok

i tylko bruzda na czole
znaczy ślad
wartkiej niegdyć rzeki



linią życia na dłoni –
wydeptana ścieżka na wzgórzu

stary orzech
młode wiewiórki wspomnieniami goni
– w październikowego słońca strugach –

na orzechowym liściu –
– nić życia przedługa – – –



w zgrzebnych ścianach starego domu
jesień astry srebrzy
na lnianym stole
pachnącym chlebem świeżym



już jesień –
a w wspomnieniach –
wciąż lato gorące
wciąż krąży sierpień
z bochnem słońca



znowu gwiazdny kielich krąży kołem
śpiewa wieczór

podchmielony wonnych jabłek miodem
gorzko!...gorzko!...

– wiatr wołanie niesie –
malinówką płonie piękna panna młoda

– jesień



jak dawniej
spadają gwiazdy
w rzekę nocy

pocałunki
grona winogrodu
i kaliny

wino
i usta
i oczy

zaczerpnij
światła zorzy
ze źródeł pamięci

niech wspomnienia
na nieboskłon nocy
powrócą z daleka

jak dawniej
gwiazdy spadają
i płynie wciąż rzeka



czemu wypatrujesz słońca
– kalino –
jesienią

czemu wiosny przywołują
rozognione
– twoje –
oczy

gasną tęcze leśnych łąk
pod powieką
późnej
nocy

usycham jak wrzos
– na wietrze –
w lesie
modrozłotym

umieram –
– z tęsknoty



(erotyk)

spijałem niebo
z rozkoszą zamglonych źrenic
rozkochany bez pamięci
rumieniłem
jabłka
tętniące miodem
gdy nadszedł czas owocobrania
na pokuszenie wiodąc
płonęłaś urodą rajskich ogrodów
ewo
czarnobrewa
rozkochany bez pamięci
spijałem dojrzałość pękniętego owocu
z warg rozchylonych



cierpkie grona mojej dojrzałej miłości
w złotolistych dłoniach twoich
spłoną

serce oczarowane
darem istnienia
kwitnie
jesienią

być –
całować twoje usta
z żurawich skarg .
i z kalinowej nostalgii

składam cierpkie grona
mojej późnej miłości
w złotolistne twoje dłonie

w tęczy żalu



(jesień)

jesień
list miłosny burzą stargany

jesień
wyżółkłe słowa
i słotne oczy beznadziei

jesień
mgła deszczowa

czemu wietrze chmur burzowych
nie rozwiejesz

jesień



blękity ołowiu
na rżęsach szuwarów
i oczy zamglone u wierzb

gdzie lato
w zarzewiu tęsknoty
umiera

wpatrzone w jesienny już zmierzch



w głębinach szmaragdowych
twoich źrenic

wspomnienia

– jak światła zielonych gwiazd –

wypiję słoną gorycz mórz wezbranych

by dziką radość istnienia
rzucić znów w wzburzoną falę

i czekać znów szczęścia
na brzegu żalu



pora słoneczników zadumanych
smutny grajek wiatr wrotami skrzypi

gdzieś żurawie stary próg żegnają
nad spłowiałą chustą dróg rozstajnych

i nad jeziorem taka pustka znowu
i nad topolą taki ból
i tęskny błękit oczu
powtórzony w siwej wodzie
– gdzie nad cięciwą ptasich kluczy
złoty róg wieczornych dumań wschodzi



samotny żagiel
jak zgrzebne niebo lniane

i klucz wędrownych chmur
nad wodą szklaną

i nić babiego lata
z sinych mgieł utkana

i tęskne moje serce
jak wieczna rana

*Zapisuje muzykę
trzmiela*

OBRAZEK Z GÓR KARPACKICH

żywicowozłote góry
miodobory
gaje kalinowe
dym znad wiatr
wodospadów mowa

jodły
– niby ulewa –
w poranne niebo okutane

huczał
fajkę kurzy
na progu chaty ciosanej

wioski
– śliwne –
– jabłonne –
kosze dorodnych owoców
dolinom
niosą
– jak najczulsze słowa –

żywicowozłote góry
miodobory
gaje kalinowe
dym znad wiatr
wodospadów mowa

KARPACKA LEGENDA...

Karpacka brzoźka

- nad urwiskiem –
- wśród chmur –
- wysoko –

słońce

ukrzyżowane

poniosła

- nad ostrowierchami –
- stąpając boso po górach czerwonych

dobrolicy

Dowbusz

- święty z huculskiej ikony –
- podał bosonogiej kierpce
- żywicowym dymem połączany –

– nad wieczorowych dzwonów śpiewem

– nad jodłami wierz cerkiewnych

●
jastrzęb
 czartowskich skał włodarz
szybuje w przestworzach
 jak orzeł

 błękit
i białe obłoki
 jak owce pędzone nad wodą

na wzgórzach winnickich
 wysokich
lasy karpackiej urody

znów rozwiośnionym tym wierchom
śpiewa kukułka zielona

do ślubu stroi się czeremcha
buk tuli sosnę w ramionach

lasy na wzgórzach wysokich

 błękit
i białe obłoki



żupan

– winnicki las –

– gdzie
błękitem białym
pnie drzew
poproszył
czas
spływają wieki
ze wzgórz

– gdzie
dawne podania przędzie
złoty zmierzch

– gdzie
księżycowa szabla krzywa
przed kozackim namiotem
wciąż wartę
wiernie trzyma



poeta
malarz jesieni zaprzędany
zapisuję
muzykę trzmiela
na słonecznikowej tarczy
maluję kwiaty
tak bardzo przypominające słońce
a w gramofonowej tubie
wciąż śpiewa aksamitny bas
jarmarkowym gwarem
odpustowych barw



odchodzą
 drogą za oknem
 wozy skrzypiące

wlokąc za sobą
 dumań tumany

a na spłowiłych makatach matczynych
 wciąż tęsknią żurawie

do słońc herbacianych



dudnią spadające gwiazdy
w jabłonnych ogrodach późnego lata

kropla po kropli
topnieją dni
i lata

dojrzałości poro złota
w bicie wieczornych dzwonów zasłuchana

klejnotem spłoniesz

kropla po kropli
topnieją dni
i lata

czas kruszy diament



płatki maku
zwiędłą

– niebawem –
na ustach

krew gorąca spłynie
niby łza ognista

kiedy głowę srebrną
jak żytni kłos
skosi
śmierć
z osypanego ziarna
pędy nowe wyrosną

– oto dowód na nieśmiertelność

gdy ptak mroku
z czerepa zwoje neuronów wykluje

gdy dzień by wydać słońca pąk
przekwitnie

– jakżeż bezsilna jest noc



tam
wśród sosnowych wzgórz
gdzie dane mi było ujrzeć światło dnia
pozostanę
na zawsze

przez wiele lat
wydeptałem ścieżkę
na tej płaskiej i obcochłodnej ziemi
usiłując
 – wciąż na próżno –
dojrzeć stąd
tamto
słońce

czasem
dymiące na wietrze latarnie
 – w oknie bez księżyca i gwiazd –
przypominają mi
srebrne dmuchawce
znad tamtych
leśnych
łąk

LISTOPAD

pamięci Rodziców

Załamanych rąk
sękate krzyże
w sinym smutku tarninowym

Dzwoni zmierzch

Ronią łzy
cmentarne świece

W modlitewnej mgle listopadowej
ciche
płonie
serce



jest czas wiosennych siewów
jest czas dojrzewania kłosów
jest pora odlotów żurawich
jest czas przymrozków srebrnych
– na skroniach stogów płowowłosych



krzyże
 krzyże
 krzyże

kamienne kłody
 cierniste drogi

milczące rozstaje

i tyle słońca
 i tyle gwiazd przewodnich
nad mrocznym progiem

że nie wie nikt
którym szlakiem z krzyżem brnąć

krzyże
 krzyże
 krzyże

kamienne kłody
 cierniste drogi

milczące rozstaje

i tyle gwiazd przewodnich
 nad mrocznym progiem



(zaduma)

co jest tam
 za zmierzchu roгатką
ze skrzydlastych drzew
 listopadem życie opada

jeszcze krąży liść
 nad pajęczyną mgnienia

przebiegnę drogę błyskawicą
– w spadające liście
 wiersze czas przemieni



wrona
– czarna kukułka –
już policzyła wszystkie dni –
 do żałobnych dzwonów

zima
w zaświaty mrozem ślad zawieje

smutku karawan szklany
w białej zaspie utonie
 – skamienieją konie

●

złota zamieć
listopadem szeleści
– jak deszczem...
skradły lata zawieje...
– żółte włosy płowieją...
– czoło smuci się ptakiem...
– nad przebytym już szlakiem...

●

port w wieczność otwarty – jak w morze...
sznur ptaków topnieje w przestworzach...
– jak życia ocean przepłynąć?... –
– gdy łódź z orzechowej łupiny...
bezskrzydły –
nad masztem wieczoru wnet spłone...
– jak ślad meteoru...
liść –
– żagiel – podarty – szczerbaty –
gdzieś wody poniosą w zaświaty...
dopali się zmierzch purpurowo
w poety – już martwej – żrenicy...
– przez chwilę żyć będzie wciąż słowo...
– jak słońca gasnące odbicie...



(z tamtych wojennych zim)

chaty zmarznięte
wilcze ślepie gwiazd

wkłada noc topór
do rąk drzewokrada

brzoza
– jak jeleń –
przez zaspy umyka

śladów
– na śniegu –
już nikt nie odczyta

DRZEWO W CIERNIOWEJ KORONIE

(impresja)

Akacjo
w cierniowej koronie
przypominasz mi postać Pana
rozpiętą
na krzyżu
Cierpienie wyryte w krwawiącym pniu
ciała żywego
Czyje judaszowe usta
nazwały Cię czarnym zieleń
krajobrazu
skazując na topór
nie wiedzącego co czyni
drwala
Akacjo
w bieli cudu wiośnianego
zmartwychwstania
darująca kwiat miododajny
gwarnym rojom pszczelim
Czyje judaszowe usta
nazwały Cię czarnym chwastem
ogrodu ziemskiego

Do czarnych drzew po kwiat
nie lecą pszczoły

LWÓW

(czterdziestego drugiego)

zamilkł puchacz w leśnych zaroślach
gdy ptak złowieszczy człowiekowi śmierć
wróżył
ucichły modlitwy cmentarne
w dymie czarnym
nad kopcem czaszek kulą strzaskanych
bezustnych
beziemiennych

po latach
wyjmuje ciernie ołowiu
z osiwiąlej od zgrozy piaszczystej ziemi

w skroniach wciąż dudni maschinengewhr
zza wzgórz lisienickich

pod łyczakowską rogatką

OŚWIĘCIM

walizka

– z ostatniej podróży –

tekturowa bryła w wysokiej piramidzie

okulary

– w drucianej oprawie –

tysiące zasnutych dymem źrenic szklanych

czarne warkocze

– którym nie pozwolono doczekać

babiego lata –

– dowodem tragicznego losu

człowieczego

– z wytatuowanym numerem

wielocyfrowym –

wciąż słyszę

drobne kroczyki żydowskiej dziewczynki

zagubionej w mrocznych obozowych

labiryntach

wciąż widzę

wystraszone oczy gałgankowej lalki

– w przydeptanych trzewiczkach

małej więźniarki –

rzucione na stos

– oprawcy nie zdążyli

podpalić



(Las o świcie)

Posępny zrab

Płonący stos
Spętanych rąk

Niezlomny dąb
– Powrozy rwąc –
Uderza w dzwon

*„Im więcej wart jest człowiek tym
większy pozostaje po nim ból”*
(Adam Ważyk)



wypijesz czarę goryczy
do dna

lecz nie wypowiesz tęsknoty
do końca

u kresu drogi człowieczej
postawi śmierć wielokropek

czasem wyrośnie drzewo płaczące

BALLADA O LASACH WRZEŚNIOWYCH

lasy wrześniowe
w wyżółkłych jenieckich szynelach

na wschód
na zachód

wciąż idą
wciąż idą

wciąż ciągną żurawie za krwawy horyzont

lasy wrześniowe
w wyżółkłych jenieckich szynelach

wciąż idą
wciąż idą

w mrok gwiazd
w noc krzyży

wciąż niosą żurawie dumanie
wciąż drogi prowadzą za krwawy horyzont

BALLADA O SŁONECZNIKACH

Żółci bracia
towarzysze moich chłopięcych zabaw
kiedy znowu zbierzemy się w ogrodzie
by przy ognisku czerwono płonącej georginii
wypalić nabitą orzechowym liściem dłubankę
fajkę przyjaźni

Czemu na moje dzieciństwo
zamachnęła czarna ręka szaleńca
by zgasić słońce
Żółte słoneczniki miały strzały z łuków
przeciw hordom złowrogich żołnierzy

Tam gdzie upadł mój pióropusz
znowu kwiaty słońca kwitną
dookoła

I znowu georginia ogniem płonie

Kurzy fajkę jesień srebrnowłosa

Słucham

Słucham

Nikt nie woła

WINNIKI

Zygmuntowi J. Rybakowi

wierszu

kwitnący dzikim zielem na wzgórzu
z łukiem drabiniastym drogi żelaznej
z rzeniem galopującej lokomotywy
– smaganej batem wojny

wierszu

z korzeniem wyrwany
z piaszczystej ziemi
mojego dzieciństwa

wierszu

z tańczącym jastrzębiem wysoko
w obłokach
nad cerkiewnym krzyżem
nad kościelną wieżą
– z głuchą sygnaturką
– podobną do wypalonych skrzypiec

wierszu

związany powrozem stalowym
z figurą madonny
wyrwany

z piaszczystej ziemi
mojego dzieciństwa

wierszu

idący za procesją białych kasztanów
– srebrem lat pobielonych
szeleszczący żółtym liściem
na wyszczerbionych schodach
któż cię usłyszy



dopala się lato
nad krzyżem
w hełmie kulą przebitym

sosny
oszące twarze
balsamem żywicznym goją

do zdrowia powraca
głucha od wojny dzwonnica

tuli dziecię madonna jasnoczoła

a nad nią
gołąb

CHLEB

(rok czterdziesty drugi)

klepsydra odmierzała dni głodu
sypiąc świeże kopce w dolinie
za wzgórzem sosnowym

niestrudzona dłoń
– w milczącej aureoli ojcowskich trosk –
obracała żarnowy krąg

klepsydra odmierzała chwile szczęścia
chlebowym ziarnem

gdy bochen razowca
– tak podobny do pełni słońca –
opromieniał ubogi nasz stół

zakratowane niebo
 pod sufitem
 przypominające okna tamtych
 bydlących wagonów
 w białą zamieć
 w błady świt
 topniejący błękit
 nad chmurą ulotnych krajobrazów
 powtórzonych w marcowej topieli
 — — — wiosna
 cierpka złotawość lata
 we włosach lip
 — — — leniwy zmierzch
 — — — samotna ławeczka
 napięta szarość dnia
 — — — żurawi sznur
 porusza ciężkie dzwony ołowianych
 widnokręgów
 — — — jesień
 bolesna biel
 — — — siwa zamieć myśli
 nad nienapisanym listem do słońca
 — — — zima
 cztery pory roku
 — — — kalendarz
 bez dat imienin i kwiatów
 zakratowane niebo
 pod sufitem
 przypominające okna tamtych
 bydlących wagonów
 w białą zamieć
 w błady świt



tak cicho
tak biało
ślad śniegiem zawiało
ślad śniegiem zawiało
listonosz przynosił karteczki
święteczne
pachnące opłatkiem
kolędą
choinką
tak niepodobne
do późniejszych listów
ciężką ręką drwała
pisanych
przepojonych
niewypowiedzianą do końca
goryczą
syberyjskich cedrów osiwiąłych
bez winy
skazanych
tak niepodobne
do listów pobielonych wczesnym szronem
pisanych piórem zestrzelonego w locie
ptaka
pisanych kroplą krwawiącej jarzębiny
czerwieńszej od gwiazdy
łagrowego nadzorcy
tak cicho
tak biało
ból śniegiem zawiało
ból śniegiem zawiało

NOC

księżyc
jak kielich milczenia

i chociaż krążą nad nami
roje gwiazd

żaden owad nie zmąci
tej ciszy
– pustynnej –

tej chwili przedługiej
zaklętej w głąz



zbladły listopadowe ogniska
winnickich lip cmentarnych
wiersze zakwitają jak chryzantemy
czas poproszył srebrnym szronem serce
w pierścieniach powalonych drzew
wiek wiatrolomu
w dziupli pustej
– niby ktoś wyrwał serce z piersi –
głucha dzwonnica
w której
w noc ciemną
straszy
puchacz
dzwonnik
zdziczały



żurawie

żurawie

płaczące żurawie

dzwony płaczą

nad kurhanem ukrainy

żurawie

żurawie

płaczące żurawie

czarnobyla dumy

siwym dniprem płyną

żurawie

żurawie

płaczące żurawie

WINNIKI

(myśl o przemijaniu)

zakwitły akacje
w piaskowej dolinie

wśród wzgórz
w zadumaniu

pod prochem prawieków
szum mórz pogrzebany

— — — — —

nad ciszą kamienną
pochyla się anioł



poходnie listopadowej nocy
prószą deszczem gwiazd
na powieki martwej opoki

światła światła światła
światła wygasłych miast

światła światła światła
cmentarnych mgieł roztopy

pod niebem listopadowej nocy
płoną świece jak las
ojczenasz szeleści listopad



(czarnobylskim bocianom)

uwierzyły błękitom
pory radosnych powrotów do gniazd
uwierzyły gwiazdom
świtów białowiśniowych
uwierzyły słońcu na zielonej topoli

umilkły w sadach w czarną noc słowiki
a mnie los czarnobylskich bocianów wciąż
boli